

Władysław Ząbek

Biografia (nie)codzienna
reemigranta z Francji



opracowanie

Anna Kurpiel

[Wrocław]

Wrocławski Rocznik
Historii Mówionej
Rocznik III, 2013
ISSN 2084-0578

Wstęp

Emigracja polska do Francji związana jest z dwiema wielkimi wojnami, które bardzo często wytyczają jej ramy czasowe¹. Masowe wyjazdy Polaków do

¹ Mimo dosyć znacznej liczby publikacji dotyczących polskiej emigracji we Francji w okresie międzywojennym i nieco późniejszym (por. m.in. J. Gruszyński, *Społeczność polska we Francji w latach 1918–1978: problemy integracyjne trzech pokoleń*, Warszawa 1981; P. Kalinowski, *Emigracja polska we Francji w służbie dla Polski i Francji 1939–1945*, Paryż 1970; A. Paczkowski, *Prasa i społeczność polska we Francji w latach 1920–1940*, Wrocław 1979; A. Taront, *Wspomnienia emigranta polskiego z północnej Francji*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1994), temat reemigracji Polaków z Francji po II wojnie światowej nie doczekał się wyczerpującego opracowania. Jak dotychczas został on podjęty w latach 60. przez Władysława Markiewicza, którego książka *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji* (Poznań 1960), mimo że bardzo detalicznie omawiająca niektóre kwestie, straciła już wiele na swojej aktualności, szczególnie biorąc pod uwagę aspekt teoretyczny, a także ideologiczny, objawiający się przede wszystkim w języku publikacji. O wiele lepiej wypada w kontekście samej reemigracji do Polski książka Caroline Roy *Chronique d'un retour oublié* (C. Roy, *Chronique d'un retour oublié. Les repatriés polonais de France en Basse-Silésie après la Seconde Guerre Mondiale (1945–1948)*, Le Mans 1995), która jednak wydana jedynie

Francji rozpoczęły się po I wojnie światowej, spowodowane z jednej strony przeludnieniem, brakiem pracy i perspektyw, szczególnie na wsi, w Polsce, z drugiej – trudną sytuacją demograficzną Francji. Emigrację zarobkową ułatwiała i regulowała konwencja, podpisana przez Polskę i Francję 3 IX 1919 roku. Polacy – w większości mężczyźni, ale i kobiety – po przejściu wstępnych formalności w Polsce, byli zatrudniani we francuskim rolnictwie, górnictwie oraz fabrykach (np. włókienniczych). Wśród polskich emigrantów znaleźli się rodzice Władysława Ząbka, oboje pochodzący z okolic Bochni. Każde na własną rękę szukając szczęścia, spotkali się we Francji, w północnym Pas-de-Calais, który, obok departamentu Nord, był regionem najliczniejszej polskiej emigracji. Według danych przytoczonych przez Kazimierza Ożoga i Jadwigi Śrutek w okresie międzywojennym znajdowało się we Francji 500 tys. Polaków, w tym ok. 180–200 na północy kraju². Związane to było przede wszystkim z obecnością kopalni węgla, w których zatrudniani byli mężczyźni. Górnicze Nord i Pas-de-Calais w okresie międzywojennym przeżywały prawdziwy rozkwit, jako jedne z najbardziej uprzemysłowionych obszarów Francji.

Drugą cezurą polskiej emigracji zarobkowej do Francji, o której mowa w poniżej przytoczonej relacji, jest zakończenie II wojny światowej. Wtedy rozpoczął się ruch odwrotny – ku Polsce. Mimo że wielu Polaków pozostało we Francji, ok. 50 tys. osób z Francji i Belgii zdecydowało się na powrót do Polski³, gdzie wielu z nich dostało pracę w dolnośląskich kopalniach, szczególnie w okolicach Wałbrzycha. Powrót do Polski ułatwiała kilka faktów. Choć nie był to powrót do „ziem ojczystych” lub też „rodzinnych”, gdyż większość reemigrantów, pochodzących z Wielkopolski, Małopolski, Podkarpacia, osiedlało się, w związku z możliwością pracy w kopalni, na Dolnym Śląsku, na pewno jedną z przyczyn decyzji o wyjeździe do Polski był głęboki patriotyzm, a także tęsknota za ojczyzną. Myśl o Polsce była stale obecna w życiu Polaków we Francji, mimo ich znakomitej wprost adaptacji

w języku francuskim może nie być dostępną szerszemu gronu polskich czytelników. Współcześnie temat ten podjął Piotr Retecki, wpisując całe zagadnienie w historię wałbrzyskiego powojennego górnictwa (P. Retecki, *Górnictwo w Wałbrzychu w latach 1945–1948*, Wrocław 2010).

² Por. K. Ożóg, J. Śrutek, *Komentarz historyczny*, [w:] A. Taront, *op. cit.*, s. 88.

³ Dane zaczerpnięte z: E. Berendt, *Dolny Śląsk. Tożsamość w konfrontacji z historyczną zmiennością*, [w:] *Mom jo skarb... Dolnośląskie tradycje w procesie przemian*, red. E. Berendt, H. Dumin, Wrocław 2009, s. 68.

do francuskiego stylu życia, a także integracji wewnątrz kopalnianych osiedli (na których, oprócz Polaków, mieszkali także Francuzi, Włosi, Serbowie, Marokańczycy, Czesi). Potwierdza to ilość polskich stowarzyszeń działających we Francji: polskie szkoły, kościół, harcerstwo (po wojnie) oraz wiele innych (np. Związek Kobiet Polskich we Francji im. Marii Konopnickiej⁴). Należy przy tym pamiętać, że w większości Polacy do Francji wyjeżdżali na emigrację zarobkową (zdarzały się co prawda pojedyncze przypadki emigracji politycznej), a więc w zamyśle – czasową.

Oczywiście, dużą rolę w podjęciu decyzji o powrocie odegrała propaganda powstałego w Polsce komunistycznego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Wyjazdy do Polski organizowane były przez Konsulat Generalny Polski w Paryżu. Ten sam organ wydawał wyjeżdżającym karty repatriacyjne i przydzielał miejsca w pociągach – jadących z Francji przez Niemcy i Czechosłowację.

Wśród Polaków wracających z Francji był – wówczas czternastoletni, tak jak i inne polskie dzieci urodzone we Francji, jadący „w nieznaną” – Władysław Ząbek.

Władysław Ząbek urodził się i wychował w górniczym miasteczku Méricourt w północnej Francji (departament Pas-de-Calais). Jego ojciec pracował w kopalni, natomiast mama, podobnie jak większość żon górników we Francji, zajmowała się domem. Tak jak prawie wszystkie polskie górnicze rodziny na północy Francji, mieszkali w domu szeregowym na osiedlu należącym do kopalni, w którym panował swoisty rygor uosabiający się w postaci osiedlowego stróża. Po powrocie do Polski zamieszkali w Wałbrzychu kilkakrotnie zmieniając „poniemieckie” mieszkania, co doskonale podkreśla widoczną w wielu relacjach reemigrantów z Francji różnicę pomiędzy „uporządkowaną” Francją a bezładem organizacyjnym powojennego Dolnego Śląska.

Pan Władysław skończył w Wałbrzychu szkołę zawodową i liceum. Po maturze planował kontynuować naukę na Politechnice Wrocławskiej, jednak za namową dyrektora szkoły wyjechał na studia do ZSRR – a dokładniej do Doniecka w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej.

⁴ Por. m.in. A. Nowakowska-Wierchoś, *Społeczno-Obywatelska Liga Kobiet (1945–1949) i Związek Kobiet Polskich im. Marii Konopnickiej we Francji (1944–1950) – dokumenty programowe*, [w:] „Komunizm: system – ludzie – dokumentacja”, 2 (2013), s. 251–279.

Stamtąd wrócił do Wałbrzycha, gdzie mieszka do dnia dzisiejszego, wraz z żoną Marią, która na Dolny Śląsk przyjechała po wojnie z województwa rzeszowskiego.

Prezentowana poniżej relacja pana Władysława Ząbka jest bardzo osobista. Dotyczy jego własnych wspomnień i doświadczeń, przede wszystkim z lat dzieciństwa i wczesnej młodości spędzonych we Francji oraz powojennym Wałbrzychu. Niewiele znajdziemy w niej tzw. historii innych, które zazwyczaj służą uzupełnieniu narracji i nadaniu jej odpowiedniego kontekstu⁵. Z tego też względu w narracji niewiele jest informacji dotyczących działalności politycznej reemigrantów we Francji bądź w Polsce, organizacji polonijnych, sylwetek ważnych postaci itp. Z opowieści Władysława Ząbka można dowiedzieć się przede wszystkim o życiu codziennym Polaków we Francji, w górniczym Méricourt, gdzie funkcjonowały polskie szkoły, sklepy, organizacje, co wiele osób – według słów pana Władysława – pozbawiało motywacji do nauki języka francuskiego i ułatwiało pielęgnację myśli o powrocie do Polski.

Dużo miejsca w relacji zajmują lata wojny (bombardowania, sposoby zdobywania żywności, handel), a także – niekiedy okrutna – polska rzeczywistość po przyjeździe do Wałbrzycha. Ważnym wydarzeniem w życiu pana Władysława były studia w Doniecku, a także pobyt na Festiwalu Młodzieży w Warszawie w 1955 r., w szczególności zaś kontakt z delegacją francuską, dla której pan Władysław stał się tłumaczem⁶.

Relacja Władysława Ząbka to narracja wpisująca się więc przede wszystkim w nurt mikrohistorycznych badań nad codziennością, w tym wypadku zarówno Polaków we Francji, jak i „Francuzów” w Polsce, a także studentów, pochodzących z różnych krajów i środowisk, w Doniecku. Z drugiej

⁵ Termin zaczerpnięty za: K. Kaźmierska, *Konstruowanie narracji o doświadczeniu wojennej biografii. Na przykładzie analizy biografii kresowych*, [w:] *Biografia a tożsamość narodowa*, red. M. Czyżewski, A. Piotrowski, A. Rokuszewska-Pawelek, Łódź 1996. „Historie innych – pisze Kaźmierska – są opowieściami o losach rodziny, znajomych czy nawet osób nieznanym. Historie te mają formę krótkich opowiadań o tym, co przydarzyło się innym” (*ibidem*, s. 94).

⁶ A miał dla kogo tłumaczyć, gdyż według danych przytoczonych przez Andrzeja Krzywickiego, na V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów Francję reprezentowało 1363 osoby – więcej liczyły tylko delegacje z Czechosłowacji, NRD i Finlandii (por. A. Krzywicki, *Postaliniowski karnawał radości. V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń, Warszawa 1955 r.*, Warszawa 2009, s. 303).

strony może stanowić ona pewnego rodzaju modelową biografię polskiego dziecka urodzonego we Francji, w polskim, górniczym miasteczku, po wojnie osiadłego w Wałbrzychu – „francuskim” mieście Dolnego Śląska.

Pana Władysława odwiedzałam kilkakrotnie w Wałbrzychu, jednak przedstawiona poniżej relacja jest owocem naszego pierwszego spotkania, gdyż pozostałe miały już charakter nieformalny – wspólnej rozmowy przy kawie. Z tego względu brak niektórych wydarzeń z życia pana Władysława – np. jego przygody ze wspinaczką wysokogóorską, a także – być może – uszczegółowienia pewnych etapów życia. Jednak w tej pierwszej, niezwykle spójnej i płynnej relacji biograficznej, widzę bardzo dużą wartość – przede wszystkim możliwość wglądu w sam proces narracji, a także pracy pamięci i wspominania – ujawniającej się przede wszystkim w autopoprawkach lub pytaniach retorycznych. Dlatego w prezentowanym poniżej tekście dokonałam jedynie, koniecznej w niektórych miejscach, korekty językowej i stylistycznej.

Pod koniec naszego spotkania, do rozmowy dołączyła żona pana Władysława – Maria, której jedną dłuższą wypowiedź pozostawiłam, gdyż z jednej strony uzupełnia ona narrację pana Władysława o ciekawe szczegóły np. „klub kawowy” reemigrantek z Francji⁷, z drugiej – inspiruje go do dalszej pracy nad własnymi wspomnieniami.

Relacja Władysława Ząbka⁸

No – ja urodziłem się w Méricourt-Coron⁹. Bo to były takie osiedla górnicze, wybudowane gdzieś zaraz po wojnie, po I wojnie światowej dla górników. I to miasteczko, właściwie składało się tylko z tych osiedli przeznaczonych dla górników i tam sami górnicy mieszkali. Oczywiście – tam, gdzie myśmy mieszkali, to większość Polaków mieszkała. Tam, w tym miasteczku, gdzie była ta oficjalna taka część tego miasteczka, gdzie było merostwo i kino, parę sklepów – to większość sklepów też była prowadzona przez Polaków. Tak że niektórzy, którzy tam mieszkali – starsi, starsze osoby, to właściwie po francusku bardzo słabo mówili. Niektóre to w ogóle nie. Szczególnie kobiety, które w domu siedziały, bo najczęściej tak bywało, że mężczyźni pracowali

7 Czyli nieformalne spotkania reemigrantek z Francji, które, tak jak we Francji, najczęściej nie pracowały zawodowo.

8 Relacja została przeprowadzona 16 III 2014 r. w Wałbrzychu, w ramach grantu „Oral History” przyznanego mi przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” w 2014 r.

9 Departament Pas-de-Calais, północna Francja.

242

w kopalni, a kobiety tam nie pracowały. Tak samo, jak u nas, na Górnym Śląsku w górnictwie, w rodzinach, to taki jest zwyczaj, że kobiety nie pracują zazwyczaj. No, jakoś sobie dawały radę te rodziny tam, wystarczyło – nie musiały pracować. Chociaż oni tam nie prowadzili jakiegoś życia takiego wystawnego, bo to – skromne było życie, ale tak jakoś się przyjęło.

A moi rodzice tam poznali się we Francji. Bo mama moja przyjechała, jak miała gdzieś – ja wiem? Coś dziesięć lat. Dziadek przyjechał tam szukając pracy, do Lille właśnie. I mama mieszkała tam w Lille, tam kończyła podstawową szkołę, taką trzy klasy czy cztery, tak że nauczyła się po francusku. No i poznała tam ojca. Tego dokładnie nie wiem, bo jakoś nigdy nie pytałem się, jak mama poznała ojca. Ojciec też tam przyjechał w szukaniu, w poszukiwaniu pracy. Tu w Polsce mieszkał, właściwie mieszkali gdzieś w pobliżu, bo mama z Bochni jest, a tata gdzieś – Pogwizdów – to taka mała wioska w pobliżu Bochni, dosłownie jakieś 20–30 km. A poznali się we Francji. I mama później trochę pracowała w fabryce tkackiej, zanim wyszła za męża. A później, już po wojnie, to też jeszcze pracowała dwa lata, bo to ciężko było po okupacji zaraz.

Światowy Zjazd
Młodzieży
i Studentów,
Warszawa 1935,
delegacja
francuska



No a ja chodziłem do szkoły. Początkowo do takiej gminnej – no właśnie nie gminnej – myśmy nazywali to „rządowa”. Bo była jeszcze druga szkoła podstawowa w tym miasteczku prowadzona przez gminę. I to była stara taka szkoła. Ale rodzice powiedzieli: »nie, to pójdziesz do tej nowszej«. Wybudowana chyba zaraz przed samą wojną, bo taka nowa, ładny budynek był. Ale tam chodziłem jakieś trzy lata – cztery chyba, cztery... tak! Cztery lata. Bo to tam była okupacja Francji, do wkroczenia wojsk amerykańskich.

W tej gminnej szkole, w mojej klasie to było: jeden Serb był i chyba z dwóch Czechów, a tak reszta to sami Polacy. A w tym okresie, w 1945 r., to od razu powstały dwie takie organizacje, które – ta jedna powstała w Londynie, to był POWN – Polska Organizacja Wyzwolenia Narodowego¹⁰, a druga – PKWN¹¹ był. Tak że tam, tak w obiegu to było, były takie dwie polskie organizacje, które no: ta londyńska namawiała, żeby do Polski nie wracać, bo to komuniści rządzą, no a tu PKWN¹², to namawiali, żeby wracać – szczególnie górników, bo tu potrzeba była w kopalniach przecież. Bardzo duża potrzeba była tych górników. No to zmieniłem szkołę, bo tam w tej szkole gminnej ta londyńska organizacja zaczęła kursy po polsku organizować: polskiego pisania, czytania i tak dalej. I ojciec mówi: »to możesz tam iść, bo to – mówi – nauczysz się po polsku«. No bo tam w domu to myśmy mówili po polsku, ale do szkoły przecież chodziłem, to musiałem po francusku.

Myśmy mówili po francusku normalnie, byliśmy właściwie dwujęzyczni. W domu to po polsku – ojciec, mama, to myśmy tylko po polsku rozmawiali, a na zewnątrz, z kolegami i tak dalej – to po francusku. W szkole to nie wolno było – czasem, szczególnie w tej naszej klasie, gdzie tyle było Polaków, czasem się podpowiadało po polsku! To tam zaraz nauczyciel zaczął gadać: »no! Ja wam dam po polsku! Nie ma w ogóle mowy tutaj w polskim języku!«.

¹⁰ Polska Organizacja Walki o Niepodległość – polska organizacja konspiracyjna we Francji, powstała w 1941 r., od 1944 r. podlegająca rządowi polskiemu w Londynie, której komendantem był Aleksander Kawalkowski.

(por. <http://encyklopedia.pwn.pl/index.php?module=haslo&id=3959749> (dostęp: 25 V 2014 r.), <http://www.beskid.com/resistance.html> (dostęp: 25 V 2014 r.), L. Ratajczyk, *Historia wojskowości*, Warszawa 1980, s. 420; W. Markiewicz, *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji*, Poznań 1960, s. 139).

¹¹ Prokomunistyczny Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

¹² Agitację lub też propagandę powrotu do Polski prowadził Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej.

No to rzeczywiście, troszeczkę żartem – to nie to, żeby tam: myśmy mogli rozmawiać sobie po polsku, ale nie podpowiadać. Takie były to czasy.

No potem to się okazało, że muszę powtarzać klasę, bo zmieniłem szkołę. Ale skończyłem podstawówkę wtedy, kiedy normalnie wszyscy kończyli, czyli do 14 lat. Ja zresztą nie miałem 14, miałem 13 i pół. I tam podstawówkę, jak się kończyło, to był taki egzamin państwowy i to przeważnie w me-rostwie, w takiej dużej sali, wszyscy pracę dostawaliśmy, którą musieliśmy pisać. To było anonimowo, tak że jak oni sprawdzali, to nie wiedzieli czyje to było. Każdy miał swój numer taki. No i później takie uroczystości były, to tam przeważnie wszyscy zdawali najczęściej. Tam gdzieś dwóch–trzech chłopaczków nie zdało, ale tak to praktycznie zdawali wszyscy. To wracaliśmy później do szkoły z flagami, śpiewaliśmy – takie były piosenki. To tak uroczyste było bardzo.

No a w międzyczasie, zapomniałem powiedzieć, a takie dosyć charakterystyczne, to zbombardowali nas w 1943 r. Ja akurat byłem w sąsiedniej miejscowości, tam, gdzie ciotka moja mieszkała – siostra mojego taty mieszkała. I tam u nich byłem. I wracałem do domu i akurat alarm był. Wszyscy zaczęli uciekać. Bo to tam ogłaszali alarm, jak gdzieś w pobliżu bombardowali – samoloty nadlatywały, był taki alarm potężny na kopalniach. A tam, dookoła naszych osiedli były trzy kopalnie. No to słychać było ten alarm, bo to tak wyło niesamowicie. Ja jeszcze wpadłem do takiego mieszkania, wszyscy ludzie uciekli do piwnicy. Ja w tym mieszkaniu sam stałem! Ale jakoś słyszałem gdzieś jakaś bomba spadła, bo był wybuch bardzo – dosyć blisko to było – gdzieś jakiś kilometr może, gdzie ja byłem. I wyskoczyłem, bo odwołali alarm i zacząłem szybko lecieć do domu. Przyleciałem do domu, a tu mieszkanie rozwalone całkiem.

Ojciec wtedy był sam w mieszkaniu. I jak tam zaczęły się bombardowania, bo to rzekomo doszło do takiej sytuacji – myśliwce [alianckie i niemieckie – A.K.] zaczęły między sobą walczyć. Bo wracały bombowce znad Niemiec – one tam przeważnie przelatywały nad nami. Takie duże! Czasem setka była tych bombowców! Potężne takie ilości. I za nimi leciały myśliwce, które je później tam miejscu osłaniały. I wracały te bombowce. Gdzieś, jakieś niemieckie samoloty chciały się dostać do tych bombowców, więc myśliwce zaczęły walczyć ze sobą. Czy któryś z tych bombowców rzucił bombę, czy może ten myśliwiec miał jakąś małą bombę? W każdym razie na to osiedle spadło jakoś trzy–cztery bomby wtedy. No i nam rozwaliło całkiem mieszkanie.

Ojciec jakoś wyszedł z tego cały, tak się schował pod ścianą, ale wybuch był tak mocny, bo to z naszego mieszkania wywaliło wszystko i tak jakoś

z boku był ten wybuch, że aż z ojca ściągnęło prawie całe ubranie. On jak wyleciał z tego mieszkania, później sąsiedzi mówili, to był w samych kalesonach, dosłownie. A przecież był normalnie ubrany. To aż spodnie z niego zdarło, górę też. No, miał bębunki przez tą falę wybuchową uszkodzone, ale tak to nic mu się nie stało, bo się tak schował jakoś pod ścianą. A brat mój, który się tam gdzieś bawił na zewnątrz, to też sąsiadka go gdzieś tam złapała i zaciągnęła troszeczkę dalej, do mieszkania tak, że nic mu się nie stało. I moja mama też. Tak że nic im się nie stało, tylko ojciec był tak poszkodowany. I mama się też później śmiała z tego, że z tego mieszkania wyszedł w samych kalesonach. Ale mieszkanie nam rozwaliło całkowicie.

To były takie długie bloki, takie piętrowe. Pawilony takie, dosłownie. I myśmy tam mieszkali. No, one były takie dosyć prymitywne, bo tam wody nie było, trzeba było wychodzić na zewnątrz. To były długie budynki, tam było gdzieś – ja wiem? – 10 wejść do tych mieszkań. I gdzieś tam w połowie była taka duża pompa dosłownie, specjalna pompa była i tam chodziliśmy zawsze po wodę. W domu zawsze dwa wiadra z wodą stały. No i takie małe ogródki były przy tych domach. Bo to były stare domy, ale piętrowe: myśmy mieli dwa pokoje na dole – wchodziło się tak zaraz do pokoju. Piec był taki – nie wiem, jak to określić... I to wszystko. Tam – kanalizacji, nic nie było, a ubicacja była na zewnątrz, były takie małe budynki postawione, każdy miał swój w ogrodzie.

I to tam nam wszystko rozwaliło. Musieliśmy mieszkać później – moja mama miała jeszcze siostrę gdzieś tam w pobliżu. I tam przenieśliśmy się. Mieszkaliśmy gdzieś jakieś dwa tygodnie, było następne bombardowanie i dosyć blisko nas, to przestraszyliśmy się i przenieśliśmy się do siostry mojego taty. Tam troszeczkę dalej – jakieś 2 km.

Bo myśmy mieszkali w pobliżu takiej dużej [zajezdni kolejowej – A.K.]. Były dwie kopalnie na krańcach tego osiedla. I te kopalnie były połączone bardzo szerokimi torami kolejowymi. I to zajmowało taki duży teren, który zamykał dosłownie to całe osiedle. A poza tymi torami kolejowymi, to tam już wioska była. Tereny rolnicze były. I tam, jakieś 5–6 km od nas był duży rejon – kilka tras kolejowych się krzyżowało i tam był tak zwany *dépôt*, to znaczy – hangary dla kolei. Takie maszynownie były duże i stamtąd wyjeżdżały te pociągi. I oni tam zaczęli to bombardować, bo to było przed samym – to były przygotowania do tego, jak Amerykanie lądowali. To przed tym lądowaniem, to tam bombardowali dosyć z tydzień te wszystkie trasy kolejowe, połączenia i tak dalej. I to miasteczko tam bombardowali, te trasy kolejowe. Trzy razy bombardowali. Dwa razy to nic się nie stało, tylko miasteczko

ucierpiał. I dopiero za trzecim razem zbombardowali te wszystkie połączenia kolejowe. Ale z miasteczka nic nie zostało. Oni przyjeżdżali w nocy, nadlatywali, zrzucali takie race pięknie – to tam bardzo ładnie zawsze wyglądało. Bo tych samolotów to nadlatywało bardzo dużo i race spuszczała, żeby oświetlić teren bombardowania, no i zrzucali bomby. Ale ponieważ Niemcy mieli wszędzie, przy takich miejscach, tą – artylerię przeciwlotniczą bardzo liczną, no to oni tam za bardzo nisko się nie opuszczali, tylko z bardzo dużej wysokości zrzucali te bomby, no to ten rozrzut był niesamowity.

Tak że później ja tam chodziłem, jako młody chłopak, ciekawy byłem. To po bombardowaniu zaraz, na drugi dzień, po dwóch dniach, bo w tym samym dniu to niebezpiecznie było, bo zrzucali czasem bomby z opóźnionym wybuchem. Takie były bomby, że później jak oni tam odgruzowywali te miejsca, to czasem nastąpił wybuch, tak że to niebezpiecznie było. Ale tam po dwóch dniach to myśmy tam chodzili patrzeć. Ale raz na drugi dzień, w tym miejscu, co zbombardowane było, to tam na drutach tych energetycznych były kawałki ciał. Bo jeszcze nie ściągnęli ich. Bo jak trafiła bomba gdzieś tam, gdzie ludzie stali, to to rozrywało na kawałki. Okropny to był widok!

A myśmy mieli szczęście, że tak nas to jakoś ominęło. Ale stamtąd uciekliśmy, bo to w pobliżu tych torów kolejowych, tej bocznicy było, to stamtąd uciekliśmy – dwa tygodnie tylko tam mieszkaliśmy! A ona [siostra taty – A.K.] sama mieszkała, z dziećmi, bo jej mąż – Włoch – ona Polka była, a on Włoch – pojechał do Niemiec na pracę. Bo tam wtedy Niemcy – nie tak, jak w Polsce, nie wywozili, tylko rekrutowali dobrowolnie. Dużo Francuzów wyjeżdżało na pracę. I ona sama mieszkała, no to zabrała nas stamtąd. Bo właściwie to nie mieliśmy gdzie mieszkać. Dobrze, że mieliśmy tą rodzinę tak dookoła.

No i później, gdzieś po pół roku dostaliśmy nowe mieszkanie – tam się znalazło jakieś wolne mieszkanie i – też takie, mniej więcej takie same, jak przedtem mieliśmy – też z takim ogródkiem małym.

Tak że kiedyś to tym laptopem tam zwiedzałem to. Zaglądałem, jak to wygląda teraz! Wprawdzie tam odnowili te budynki, doprowadzili wodę, tak że tam teraz kanalizację doprowadzili. Zresztą, jak byłem w 1969 r., pierwszy raz po wyjeździe z Francji, to byłem w 1969 – z żoną byliśmy razem. To odwiedzałem tam te stare miejsca. Bo później w 1981 to byłem na winobraniu – chciałem zarobić! Aha – wtedy, jak byłem pierwszy raz, w 1969, to – w tych budynkach, gdzie myśmy mieszkali, to tam mieszkali różni ludzie. Ale w 1981 to już prawie tych mieszkań nie było. No bo tych kopał już tam nie ma dookoła, wszystkie zostały zlikwidowane.

Moja miejscowość jest jakieś 30–40 km od Lille. Jakieś 30 km – może troszeczkę więcej? Tam teraz jest autostrada, tak że bardzo łatwo można przejeżdżać. Wtedy to pociągami się jeździło. Tam tych samochodów tyle nie było, co teraz. To się pociągami jeździło. Ale pociągami – przyjemnie się jeździło i to w pociągu kiedyś – sam pojechałem, to tak siedziałem, jakieś takie młode dziewczyny tam siedziały ze mną w tym i coś tam się pytały, już nie pamiętam co, jak im odpowiedziałem, a one mówią: „a ty tak dobrze mówisz po francusku, ale akcent masz taki dziwny!” Ja mówię: no bo jestem Polakiem! „Aaaaaa, mówi, ale po francusku dobrze mówisz!”. Ja byłem taki zadowolony!

A to to kilka razy się to zdarzyło. Później, jak – zaraz po wyzwoleniu, to byłem na takim obozie harcerskim¹³. Tam myśmy też stali – no mieliśmy dyżury, bo to w namiotach spaliśmy – taki duży obóz był, w lesie. Też tam zaczęli do nas dochodzić – ciekawscy, chcieli wejść na obóz. To tam oczywiście po francusku rozmawialiśmy. Ale oni tak – zaglądają, zaglądają i mówią: „ale to nie Francuzi!”. „No nie! – mówimy – to my są polscy!”. No, mówiliśmy dobrze po francusku. Tam nie było mowy, żeby ktoś tam się poznał – rzadko się poznawał, że to nie są Francuzi.

No i później, już po wyzwoleniu to ja skończyłem tę szkołę podstawową i w Paryżu zostało otwarte gimnazjum polskie¹⁴. I chciałem się do tego gimnazjum dostać. I zacząłem tam się kręcić, gdzie, jak, co. Ale się nie dostałem, bo nie było już miejsca w internacie. A zdałem egzamin. Byłem taki rozczarowany! Ale ja głupi byłem, bo się przyznałem, że pod Paryżem mam znajomego. A to było bardzo daleko i ten znajomy to w ogóle nie bardzo się uśmiechał, żeby mnie przyjąć! No i nic z tego nie wyszło. Zostałem w domu. Nie miałem co robić. Bo do francuskiej szkoły, takiej średniej, nie chciałem za bardzo iść. I właściwie to – no, ciężko było i mama poszła pracować. I ja zostałem w domu z dwoma dziećmiakami na głowie. Mama przygotowywała coś tam, ja to z tatą później kończyłem – obiad, żeby obiad był. Mama później przychodziła. No a ojciec wracał z kopalni.

¹³ Zazwyczaj przy szkołach polskich organizowano drużyny harcerskie (por. K. Ożóg, J. Śrutek, *Komentarz historyczny do: A. Taront, Wspomnienia emigranta polskiego z północnej Francji*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1994, s. 87–109), jednak według słów Władysława Ząbka w Méricourt zaczęło ono działać dopiero po wojnie – (por. P. Kalinowski, *Emigracja polska we Francji w służbie dla Polski i Francji 1939–1945*, Paryż 1970).

¹⁴ Chodzi najprawdopodobniej o Gimnazjum i Liceum im. Cypriana Kamila Norwida.

A tam jeszcze [podczas wojny – A.K.] mieliśmy takie trochę przygody, bo tam za tymi torami Niemcy wybudowali obóz i trzymali tam Ukraińców¹⁵. [Jeńców] wojennych – szczególnie tej armii Własowa, co się tak szybko poddała Niemcom. To ich tam trzymali w takich dobrych warunkach nawet. Bo tych rosyjskich żołnierzy, to ich w Niemczech, co trzymali w obozach, to tam przeważnie tak było, że połowa z nich umierała, bo tam ich i słabo odżywiali, i straszne warunki mieli. A tutaj we Francji ci Ukraińcy to bardzo fajnie mieli. W niedzielę do kina ich prowadzili, a zawsze wiedzieliśmy o tym, bo oni zostawiali po sobie – cała sala była łupin z pestek od słonecznika. No to, jak to Ukraińcy – oni wszyscy ten słonecznik jedli. Zresztą z tym się później stykałem, jak byłem na studiach. Na studiach to byłem w Doniecku. Oni tam te pestki od słonecznika to jedzą niesamowicie dużo. A taką wprawę mają niektórzy – niesamowicie! Niektórzy to robią tak – w kieszeni ma całą garstkę, pełną kieszeń tych pestek. I tak – z kieszeni wyciąga i wzięt – rzuca do ust! Dosłownie! Do ust rzuca i za chwilę z drugiej strony wypływa tą skorupę. No taką wprawę mieli! Myśmy podziwiali! Na stadionach, szczególnie na stadionach to tego było zawsze pełno. No – takie warstwy były. Bo u nich to jest, tam pola były całe tych słoneczników. A tam we Francji, właśnie w tych kinach tam – było takie jedno kino, zresztą sam często do tego kina chodziłem – tanie było to kino, to mama zawsze dawała pieniądze, jak były takie filmy dla nas. I to, jak po nich seans był, jeszcze nie zdążyli pozamiatać, to tych łupin było na podłogach masa. A później Niemcy sami siedzieli tam, bo po wyzwoleniu to znowu wojsko niemieckie było w tym obozie! Ale ich krótko tam trzymali, gdzieś może z półtora roku czy niecałe dwa lata, później ich wypuścili.

No i w 1945 r. byłem na obozie harcerskim, takim ciekawym. O! tam to co zapamiętałem, to była zupa ryżowa. Przez całą okupację to myśmy ryżu nie widzieli.

Aha! Górnicy mieli przydział przez cały czas prawie wina. Takiego – wina to było z winogron, nie? Ale takie liche, takie, że pół na pół z wodą chyba było. No ale na miesiąc 5 litrów dostawali górnicy. I ojciec oczywiście tego nie wypijał i myśmy z tego wina robili wódkę! Dużo, dużo – tam na tym osiedlu to prawie wszyscy ci Polacy to robili – pędzili. No to było bardzo proste – trzeba było mieć taki większy garnek, taki duży kociołek. Był zamknięty – tam

¹⁵ Niestety nie udało mi się ustalić nazwy obozu, a pan Władysław nie pamięta szczegółów.

się zamykało to zrobionymi takim domowym sposobem śrubami. I z tego wychodziła rurka miedziana, trzeba było ją tak nakręcić całkiem. I do zimnej wody. No i stamtąd opary wychodziły, to się gotowało i z tego opary się w zimnej wodzie skraplały i była wódka. Wódka była taka dobra, że ho-ho-ho! I tę wódkę myśmy sprzedawali. Mama zawsze jeździła do Lille i do restauracji zawoziła tę wódkę. I w ten sposób troszeczkę tam sobie jakoś poprawialiśmy wikt! No bo było paskudnie. Wszystko było na kartki. Beznadziejnie było. Ojciec to czasem na rowerze wyjeżdżał do wsi i stamtąd za wódkę przywoził pszenicę. I w domu tę pszenicę myśmy mielili i mama mieszała tę pszenicę z ziemniakami i piekła taki chleb. Ziemniaczany i mąkę pszenną do tego.

No tą wódką tam handlowaliśmy. Kiedyś się kolega upił całkiem tą wódką. Taki w moim wieku. Bo pierwszy spust tej wódki to był taki troszeczkę przebarwiony tym winem. Bo to się gotowało, jak się za dużą temperaturę dało, to tam troszeczkę zabarwiło się. Więc trzeba było odstawić tą pierwszą wódkę, która z tego schodziła. I ona, jak stała gdzieś tam z boku, w szklaneczce i to się tak ustało, że tego przebarwienia nie było widać. Ono widocznie całkiem na dno upadło. I kolega myślał, że to woda i złapał i wzit! I się tak ululał, że...! No, niesamowita była historia wtedy!

I w 1946 r. pierwsze transporty zaczęły wyjeżdżać do Polski. To tam zapisywali. Myśmy chcieli też wtedy wyjechać, w 1946, ale mój ojciec troszeczkę się wkręcił w tą organizację tych wyjazdów. I ta cała wierchuszka mówiła, żeby został jeszcze, żeby działał jeszcze przy tej organizacji, to na drugi rok wyjedzie. No i tak jeden rok myśmy nie wyjechali. Pomimo tego, że tam, gdzie mieszkaliśmy, to sąsiedzi nasi wyjechali. I tu do Wałbrzycha. I myśmy później wyjechali w 1947 r., w lipcu to było, 8 lipca, bo przyjechaliśmy tutaj do Wałbrzycha 14 lipca na święta francuskie, to pamiętam dokładnie. A jechaliśmy 6 dni aż. Jechaliśmy przez Niemcy taką południową trasą – wiem, że przejeżdżaliśmy przez Monachium. Zbombardowane było Monachium! Jak się przejeżdżało, to widać było same gruzy. I później przez Czechy – nawet przejeżdżaliśmy przez Pragę – widziałem trochę z daleka Pragę. I tutaj na Kłodzko żeśmy przejeżdżali, przekraczaliśmy w tym... no! Jak to jest? Nie w Kudowie. Z Kłodzka jak się zjeżdża na dół. O kurczę, ale wyszło mi z głowy! Międzygórze? Nie. Międzygórze tam jest, ale troszeczkę niżej jeszcze. Międzygórze z boku tam jest. No nic! Nieważne. Tam wjeżdżaliśmy do Polski¹⁶.

¹⁶ Chodzi najprawdopodobniej o Międzyzlesie.

Też było bardzo charakterystyczne, też nam to utkwiło w głowie, bo we Francji wtedy była taka niedobra sytuacja z żywością. Szczególnie z chlebem. Chleb był robiony z mąki pszennej i kukurydzianej. Ten chleb jak był świeży, to jeszcze był zjadliwy. A jak poleżał gdzieś trochę, a przecież myśmy jechali doryć długo – te wagony były – to były wagony bydłące. Tylko że tak przyjemnie urządzone, tak że nam tam tak przyjemnie się jechało. Kilka wagonów było z wiktuałami i oni szykowali zawsze jedzenie. Raz dziennie gdzieś się zatrzymywał pociąg i oni jakieś kotły tam mieli i coś tam zawsze otrzymywaliśmy – jakieś tam jedzenie, picie i tak dalej. Ale ten chleb to był nie do zjedzenia, bo on powoli wysychał i on się rozlatywa! Dosłownie! To ta mąka kukurydziana tak robiła, że był nie do zjedzenia ten chleb. I tutaj na granicy, no oczywiście tam te organizacje polskie przyjmowały nas i tak dalej, i przynieśli chleb. I tam takie te bochny duże były wtedy. Tylko z kolei to nie bardzo nam smakowało, bo to był chleb taki razowy i na kwasie. A myśmy nie byli przyzwyczajeni do tego. Tam we Francji nigdy nikt nie piekł taki chleb, tam tylko na drożdżach. Ale to i tak nam smakował, bo po tym cholernym kukurydzianym – cymes był!

I tutaj przez tą całą Kotlinę Kłodzką to dwa dni jechaliśmy. Cztery dni jechaliśmy z Francji przez Niemcy i Czechy, a tu taki kawałeczek – 2 dni. Ale w jednym miasteczku, to tam zajechaliśmy i trzeba było koniecznie wymienić lokomotywę. Nie wiem dlaczego, no ale ta lokomotywa, która nas ciągnęła – odeszła, zostaliśmy bez lokomotywy i jakąś zmieniali lokomotywę. Ale nie było kolejarza, żeby prowadził tą lokomotywę, musieli do kina wyskoczyć, faceta ściągnąć z kina i dopiero! Tam staliśmy chyba z osiem godzin. I tak w kilku miejscach staliśmy, bo to – no to był 1947 rok.

Aha! Jeszcze, jak jechaliśmy, bo tu od strony Nowej Ruchy jechaliśmy, od strony Kłodzka tam, to przejeżdżaliśmy przez ten wysoki most – nie ten, który jest tu w Wałbrzychu, tylko ten, który jest tam troszeczkę dalej w Głuszczy. Tam jest taki wysoki cholerny most, bardzo wysoki, konstrukcja taka żelazna. I ponieważ nie wiem, czy to dlatego, że byli niepewni jego wytrzymałości, czy co, był podparty takimi drewnianymi podkładami. Te podkłady tak były układane tak, na taką kratkę. I to wysoko było tak – ja wiem? Z 20 metrów dobre. I takie były te podkłady, jakby na tym tylko stało, nie? Te stare podpory były, ale jeszcze były te drewniane. I ten kolejarz jak nadjechał, maszynista, jak to zobaczył, to się zatrzymał i się zastanawiał: jechać czy nie jechać? Ludzie zaczęli wyskakiwać z tych wagonów i on przejechał. No tam część została w pociągu, ale bardzo dużo ludzi wyszło z wagonów, on przejechał, zatrzymał się po drugiej stronie i dopiero ludzie zaczęli przechodzić przez ten most i do wagonów. Była heca niesamowita!

No i tu później w Wałbrzychu też staliśmy jakieś 5–6 godzin zanim przyjechały samochody i zaczęły nas rozwozić po mieszkaniach. Mieszkania już były przygotowane. Myśmy dostali mieszkanie w samym centrum Wałbrzycha, w takiej dużej kamienicy, która – właściwie prawie cała kamienica była pusta. Bo przed przyjazdem tych emigrantów, to Niemców... wywozili Niemców. To takie akcje były. Zresztą później, jak myśmy mieszkali to też jeszcze była taka jedna dosyć duża akcja, że Niemców wywozili do NRD, tam dalej później.

I mieszkanie duże dostaliśmy. No nas była piątka, bo trzech braci było... A nie! To już było czterech, czterech nas było. No i – tata i mama, to 6 osób. Ten ostatni brat się urodził w 1944 r., przed samym wyjazdem. Taki małutki... Trzy lata miał. I to mieszkanie dostaliśmy takie: cztery pokoje, kuchnia, korytarz taki był duży. Tak, że dwa pokoje były z jednej strony tego korytarza, kuchnia, jeszcze jeden pokój. Przedpokój taki duży! Ładne drzwi takie były. Wchodziło się z klatki schodowej. Ja rowerem jeździłem! Bo przywieźliśmy ze sobą, stary rower tata miał i ten rower przywieźliśmy. Zresztą, nic takiego nie przywieźliśmy z tej Francji, bo już tam nic takiego nie mieliśmy, bo po tym bombardowaniu to tam nam wszystko rozwaliło. A dostaliśmy tylko, jako odszkodowanie, taką pewną sumę, ja już nie pamiętam ile, i takie, no: serwisy takie różne. To dostaliśmy w formie takiego odszkodowania. A tak nic więcej nie dostaliśmy. To było pod koniec 1943 r. No to później przez te dwa lata, rok, nie mieliśmy w ogóle mieszkania. Dopiero w 1944, na początku 1944 r. dostaliśmy mieszkanie. Zanim tam jakieś mebelki, coś tam, takie proste kupiliśmy. To zresztą to wszystko zostało tam. Nic takiego, taką jedną skrzynię mieliśmy większą, co tam te wszystkie rzeczy, które mieliśmy ze sobą to tam zabraliśmy¹⁷. I ten rower. Tym rowerem jeździłem po tym korytarzu – długi taki korytarz był!

Ale mieszkaliśmy tam tylko trzy dni. I w ogóle nie rozpakowaliśmy się, na takich siennikach spaliśmy. Bo na podwórku była sterta taka, gdzieś dwóch – trzy metrowych śmieci, bo to nikt nie wywoził. Tam, w pobliżu, gdzie ludzie mieszkali, to tam wszystko na to podwórko wyrzucali te śmieci. A w dodatku jeszcze była taka organizacja, która przyjmowała tych emigrantów, oni

¹⁷ Jeśli chodzi o regulacje dotyczące rodzaju i ilości rzeczy przewożonych z Francji do Polski, to co roku obowiązywały inne przepisy (odpowiednio z 20 II 1946, 28 XI 1946 i z II 1948). Jednak wracający mogli wziąć cały swój majątek, wraz z meblami, jednak najprawdopodobniej bez zwierząt. Por. K. Ożóg, J. Śrutek, *op. cit.*, s. 108.

przygotowywali te mieszkania. Oni zabierali też meble z [opuszczonych – A.K.] mieszkań, co lepsze oczywiście. I były tutaj w Wałbrzychu takie dwa czy trzy składy, w takich dużych salach, i tam te meble były składowane. I później przydzielane były tym ludziom, którzy przyjeżdżali tutaj. I jak oni te meble zabierali, to później się za bardzo tymi resztkami, co tam były, to tym się nie patyczkowali, tylko żeby jakoś oczyścić mieszkanie – to wszystko brali i *wził*, przez okno wyrzucali. I tak na podwórku to była taka sterta. I takie szczury łąziły. Dosłownie! Jak myśmy to widzieli, to nam strasznie się zrobiło. No i ojciec zaczął się rozglądać, gdzie by tu coś innego zdobyć.

A tu w Wałbrzychu, w tej organizacji całej, która przyjmowała tych emigrantów, pracował nasz sąsiad z Francji. I mieszkał tu w Wałbrzychu i ojciec się z nim zgadał. I on mówi: „na Podgórzu – taka dzielnica jest tutaj w Wałbrzychu – są mieszkania o wiele lepsze – mówi – i to tak przy lesie, bardzo ładnie, przyjemnie jest”. No i tam akurat faktycznie było puste mieszkanie, tylko że tam znowu, tam były dwa pokoiki małe! No i tam mieszkaliśmy chyba z półtora roku, dwa. I niedaleko nas tam, jeszcze mieszkał Niemiec. W takim starym mieszkaniu – taki bliźniak był. Tam zresztą całe osiedle jest takich bliźniaków. Stare oczywiście, to Niemcy wybudowali to w jakiejś takiej – bardzo oszczędnej formie. Niesamowicie. Bo to było – tak niby to wyglądało dosyć ładnie, a nawet ocieplane były deskami. Piętro, bo to piętro, to pierwsze piętro było takie – czarne deski były charakterystyczne, tak ułożone w zakładkę, jak dachówki. Dookoła. I one tam nadal są tak zrobione, o ile ktoś nie przerabia. Zresztą to tam wszyscy teraz pięknie ładnie ocieplili, przebudowali, rozbudowali i to całe osiedle jest nie do poznania z tym, jak ono wyglądało w 1947–8 roku. Tynki tam były układane – wewnątrz w mieszkaniu – do – taka trzcina była poprzybijana i na trzcinie były nakładane tynki. Tapety były stare, brudne! Pod tapetami takie robaki gnieździły się! No niesamowicie to było. Zresztą tu już starsze osoby były i widzieli, że i tak będą musieli opuścić te domy.

To były zaniedbane te mieszkania tam. No ale ten Niemiec tam był, a ojciec zaczął już pracować na kopalni, już rok pracował na kopalni, to zaczął się domagać lepszego mieszkania. I wzięli tego Niemca po prostu stamtąd wyrzucili. Dali mu mieszkanie – niedaleko, w takim gorszym, starym budynku. Ale tam dwa mieszkania też były, też taki bliźniak był. Ale też taki stary. I to przy samej drodze tam. I później, jak on wyjechał do Niemiec, to rozwalili to mieszkanie. Zresztą jeszcze nie tak zaraz, jeszcze tam jakieś 5–6 lat mieszkali ludzie.

No i tego Niemca tam przerwali na to drugie mieszkanie... Aha! Bo to było w ten sposób, że jakiś milicjant chciał tam to mieszkanie wziąć. A ponieważ to były mieszkania górnicze, to znaczy – kopalnia miała nad nimi opiekę, no to ojciec zaczął podskakiwać i jemu przyznali. I jeszcze później tam milicjant dwa dni przyszedł i straszył nas – że nas wyrzucą stamtąd. To pamiętam. No, ale to tam się wszystko uspokoiło i tam później mieliśmy dość ładne mieszkanie. No „ładne” w tym sensie, że przyjemnie tam – ogród dosyć duży był. Ale to siostra¹⁸ tam została, wszyscy jakoś się wynieśli, jak powyrastali.

No a ja wstąpiłem do szkoły tutaj. Niedaleko stąd taka była szkoła. Z początku to, w tym roku, co – w 1947, kiedy tam wstąpiłem do tej szkoły, to była szkoła zawodowa, zasadnicza szkoła zawodowa. Ale zaraz na drugi rok zrobili z tego gimnazjum. I z początku to mieliśmy nawet jeden dzień praktyki. Tak że do zakładu pracy chodziliśmy na praktykę. Albo mieliśmy praktykę tam w tej szkole. Taką ślusarską, mechaniczną. I po gimnazjum powstało liceum dwuletnie. Tak że ja pięć lat siedziałem tam w tej szkole. A koledzy, którzy przyszedli później, to znaczy – młodsze roczniki, to kończyli czteroletnie. Bo to z kolei znowu przerobili na technikum czteroletnie. I ci kończyli z nami technikum czteroletnie, a my liceum dwuletnie kończyliśmy.

To był 1952 rok. Maturę zdawałem wtedy. I składałem papiery do Wrocławia, na Politechnikę Wrocławską. Ale była akcja u nas w szkole, kto chce to może do Związku Radzieckiego zdać egzaminy na politechnikę czy tam w ogóle na wyższe uczelnie. Jakoś mnie to nie bawiło, ja się nie zgłosiłem. I tam się zgłosiło z trzech czy czterech chłopaków. I taki odsiew był w szkole samej, na początku, i zakwalifikowali tylko jednego, a mieli mieć dwóch, dwóch miało dalej pójść. I dyrektor mnie zaczepił, mówi: »a dlaczego ty nie złożyłeś?«. A takiego fajnego dyrektora mieliśmy – świetny dyrektor był! I ja mówię: »a nie bardzo mi się chciało«. »Nie! – mówi – składaj zraz!«. No to polecałem, nawet jeszcze tutaj nie miałem odpowiednich dokumentów, musiałem tłumaczyć francuski akt urodzenia, bo francuski miałem, a tu nie było akurat w Wałbrzychu wtedy tłumacza, który by mi to zrobił. A był taki tłumacz w sąsiednim miasteczku – w Jedlinie. Ja do tej Jedliny pojechałem pociągiem, a z powrotem już nie było pociągu akurat, żebym mógł zdążyć jeszcze w tym dniu złożyć, bo to ostatni dzień był. I ja z tej

¹⁸ Siostra pana Władysława urodziła się już w Polsce.

Jedliny pieszo wracałem tu do Wałbrzycha. Ale przyleciałem i złożyłem to. No i przyjęli mnie. Te następne etapy też złożyłem, zdałem. We Wrocławiu była taka selekcja później z całego Dolnego Śląska. A później w Warszawie zdawaliśmy egzaminy – normalnie tak, jak na polską uczelnię egzaminy były. Tam mieliśmy o tyle dobrze, że po tych, po tym egzaminie tutaj we Wrocławiu, to już jak do Warszawy nas zakwalifikowali, to tam mieliśmy cały miesiąc kurs przygotowawczy do egzaminu. Po prostu powtórkę tych wszystkich: z fizyki, z matematyki. I z języka rosyjskiego, no bo mieliśmy zdawać język rosyjski. Bo w szkole przecież mieliśmy też język rosyjski. Co charakterystyczne, miałem jedną trójkę z przedmiotów – z języka rosyjskiego! I dyrektor się śmiał, bo jak widział te moje dokumenty, mówi: »aha, no tak! Akurat pasuje«. No, ale jakoś to...

Ten miesiąc później w Warszawie jakoś nas tam przygotowali. Najwięcej to właściwie nauczyliśmy się z matematyki i z fizyki, to nas tam przycisnęli porządnie. Bo były egzaminy i pisemne, i takie – no, słowne też. Tak że tam porządny egzamin był. Zresztą były te same mniej więcej pytania, co normalnie na politechnice. I później jeszcze wyjechaliśmy na tydzień do Gdańska. Gdańsk Oliwa. Tam, gdzie były takie duże internaty Politechniki Gdańskiej. I tam mieliśmy tylko język rosyjski. Jeszcze w dodatku kazali nam w internacie rozmawiać tylko po rosyjsku między sobą. Ubaw był! Tak jak sami byliśmy, to żeśmy się nabijali strasznie. Kaleczyliśmy ten język – tak bardziej po polsku niż po rosyjsku! No, ale to ubaw był wielki!

I wyjechaliśmy później do Rosji. Taki był cały pociąg – nas wyjechało 400 studentów wtedy. Do Moskwy jechaliśmy. No to – oczywiście jechaliśmy tym międzynarodowym pociągiem. Tym rosyjskim. Te coupe, co oni mają. Każdy przydział jest z półeczkami do spania i tak dalej. No był wagon restauracyjny – tam pięknie nas poczęstowali. Pierwszy raz ikrę jadłem – kawior. I szynki najedliśmy się. Łojoj! Bo to przecież to wtedy – 1952 rok – to w Polsce tak nie bardzo było. Tak nam się to spodobało. W Moskwie byliśmy przez dwa dni, w takim też studenckim internacie mieszkaliśmy. Przyjęli nas w ambasadzie polskiej. Tak. Na takim tam przyjęciu – szampanem nas poczęstowali. Fajny był kolega, który z nami jechał do Donbasu. Bo tam ta cała czterystuosobowa grupa była rozdzielona po całym Związku Radzieckim. A był jeden taki ze Śląska, który kończył takie przyspieszone liceum – bo był górnikiem. Ale chłopak później na studiach to się tak wziął za naukę, to widać było, że on tak no – się wziął za to poważnie. Ale tam tak po śląsku zaczął przemawiać. Ubaw mieliśmy! Bo był taki troszeczkę, jakiś działacz musiał być młodzieżowy. No to jak wypił trochę tego szampana, to tam troszeczkę zaczął rozrabiać!

Pozwiedzaliśmy trochę Moskwę [przed przyjazdem do Doniecka – A.K.].

Studentka była jedna, córka ministra budownictwa. Jędrzejewska? Jędrzejewska, chyba tak¹⁹. Coś takiego. Ale bardzo zdolna. Ona była na geologii, to na całym tym turnusie najlepsza była. Nikt jej tam nie mógł dorównać. Rosjanie to ją podziwiali. Zawsze jak był koniec roku to dziekan ją zawsze wychwalał. A zresztą polskich studentów, nie chcę się chwalić, ale polskich studentów chwalili bardzo zawsze, tylko mówili: »za dużo chodzić na dziewczynki! Ale tak mówili: »bardzo dobrzy«. Mówię, bo myśmy się bardzo łatwo integrowali ze wszystkimi studentami. Tam oprócz nas byli Węgrzy, Czesi. I później jeszcze, dwa lata potem Chińczycy przyjechali. No Chińczycy... to w ogóle był ubaw z Chińczykami! Oni zresztą tylko między sobą tam, oni się z nikim nie integrowali. Czechów było tylko dwóch, ale tacy – spokojnoty takie, jeden fajnie grał na gitarze. Ale takie czeskie jakieś takie, nie wiem, jakieś śmieszne te piosenki. Był zawsze ubaw!

Bo to oczywiście musieliśmy się zawsze popisywać. Bo tam te sprawy kulturalne to były bardzo propagowane. Aha! W tym mieście [w Doniecku – A.K.] jest duży teatr, opery – opery i balety, tak to oni nazywają. No opera tam była duża. I co miesiąc był taki koncert muzyki poważnej w takiej dużej auli, na uczelni. No i oczywiście to było – taki był wstęp, to omawiane było. Fajnie, bo propagowali tą muzykę poważną. Bo oprócz tego – ta muzyka lekka to była taka, jak to było wtedy w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych. Właściwie pięćdziesiąte, bo to 1952 rok był przecież. Skończyłem w 1957. No a oni uważali, że to muzyka ta ludowa jest odpowiednia.

I myśmy musieli też śpiewać. Ja na przykład śpiewałem w chórze, takim małym. Cztery osoby nas było. Czy pięć? Pięć. I tam te nasze piosenki, takie wesołe, bardzo przyjemne. A właśnie te nasze piosenki były najbardziej lubiane wśród Rosjan. To niektórzy to tam z kolei szukali w nas tych... zachodnich piosenek. Ja akurat i tam innych takich kolegów, akurat nikt się tak specjalnie tą rockową²⁰ muzyką nie interesował. Mnie też nigdy to tak nie pociągało. Wprawdzie później dopiero z nią tak troszeczkę się zaznajamiałem, ale wtedy to jakoś do mnie nie docierało. Ja więcej wtedy właśnie

¹⁹ W latach 1951–1956 funkcję ministra budownictwa sprawował Roman Piotrowski (1895–1988). Możliwe, że panu Władysławowi chodziło o Stefana Jędrzychowskiego (1910–1996), który w latach 1951–1956 pełnił funkcję wicepremiera, a w latach 1956–1968 przewodniczył Komisji Planowania przy Radzie Ministrów.

²⁰ W latach 50. XX w. królował rock'n'roll.

lubiełem tą muzykę poważną. Chodziłem na tą operę. No a te koncerty mieliśmy co miesiąc – i co miesiąc tam zawsze byłem. I tam – no ci z opery przychodzili najlepsi. Nie było tak, żeby oni sobie tak to odgrywali czy odpuszczali. Całkiem poważne były, tak że przyjemnie było.

No – studia były ciekawe, ja tam nie narzekałem na nic. Mieliśmy tylko jeden taki nieprzyjemny incydent w czasie studiów, bo kolega na zabawie noworocznej – był tam zaproszony, bo oni tam często prosili, tam było takie duże biuro projektów maszyn, budowy maszyn górniczych. A myśmy byli na takim wydziale – Budowy Maszyn Górniczych. I oni zaprosili akurat dwóch z naszych, z naszego oddziału na taką zabawę i oni poszli tam. No tam trochę popili i jeden z tych naszych kolegów pokłócił się z gościem na temat Rokossowskiego. Bo ten zaczął się tam chwalić, że »my wam dali Rokossowskiego«, a on był taki, że nie bardzo tego Rokossowskiego kochał! No i się tak pokłócili, że tam – no, do bicia nie doszło, ale bardzo ostro. I on później się dosyć mocno spał i odszedł stamtąd. Poszedł do takiego pokoju gdzie, bo tam nie było żadnego jakiegoś miejsca, gdzie można było oddać wierzchnie nakrycie, tylko pokój był tam jeden i tam wszyscy się rozbierali i to leżało tak wszystko. On tam wszedł, bo chciał pójść – z powrotem do internatu wrócić. No ale był tak pijany, że zasnął tam i spał. I rano, nad ranem, jak ci zaczęli wracać, no to tam się do niego zaczęli czepiać. On w tym, jak się rozbudził – a to nerwus był straszny – i tam się zdenerwował jakoś widocznie. I jeszcze raz się pokłócili, doszło nawet do jakiejś szarpaniny. No i... dobrze, że ktoś tam wszedł wtedy i rozdzielił to wszystko bractwo. Ale oni zrobili z tego wielki szum. I to polityczny. No bo nie mogli się doczepić, że on tam spał, tylko się doczepili, że mu się Rokossowski nie spodobał. Że przeciw Związkowi Radzieckiemu. I chłopaka wyrzucili [ze studiów – A.K.].

Bo nas [na roku – A.K.] była grupka dwudziestu gdzieś studentów, to przed nami, o rok wcześniej zaczęła inna grupa – gdzieś około piętnastu ich było, mniej. I, jak zaczęły się te targi, z konsulatu przyjechał z Moskwy attaché wojskowy, bo to oni mieli pieczę nad studentami. No to zaczęli tam domagać się ukarania. No myśmy, cała grupa, wystąpili przeciw. I już myśleliśmy, że wszystko będzie w porządku. Ale tamta grupa, która była przed nami, zgodziła się, żeby go wyrzucić. No to tamten, jak miał takie poparcie, ten z całego ataszatu, co przyjechał – nawyzywał nas strasznie. Ale myśmy twardo stali, że to co? Nic takiego się nie stało. Ale mówi: „Rosjanie naciśkają”. No i faceta wyrzucili. I z początku, pół roku miał tutaj kłopoty na Śląsku, on ze Śląska był, go nie chcieli na uczelnię przyjąć. Ale w końcu

później przyjęli go, skończył tu w Polsce. No miał pół roku, właściwie to cały rok miał zepsuty – bo pół roku tam i pół roku później tutaj w Polsce. Tak że na następny rok go przyjęli.

A tak to była bardzo fajnie tam. Przyjemnie było. Bo myśmy bardzo dobre warunki mieli. Z początku myśmy mieli to najwyższe stypendium, które Rosjanie otrzymywali, jeśli mieli same piątki i to przez cały okres. 500 rubli. A tak to otrzymywali trzysta dwadzieścia. W tym trzeba było opłacać ten internat. No i jedzenie też. A nam oprócz tego, jeszcze ambasada dołożyła 320. Tak że my te 320 to mieliśmy na luźne wydatki. Tak że tam kole-dzy niektórzy to nawet motory sobie kupili. No. Tylko jeden to źle na tym wyszedł, bo miał wypadek i to tak paskudny, że pół roku leżał w szpitalu. Miał pękniętą miednicę, złamaną nogę. Tak wjechał pod ciężarówkę to go poharatało strasznie. No ale tak to było wszystko w porządku. Bo on tam leżał w tym szpitalu, ale uczył się, tak że egzaminy zdał później. Tylko na zdrowiu ucierpiał.

I – jak przyjechałem później po studiach, to tutaj się zgłosiłem... Aha! Mieliśmy skierowania do pracy. Bo wtedy były skierowania. Dostałem dwa skierowania, do wyboru. Jedno tutaj do biura konstrukcyjnego – tu w Wałbrzychu było takie duże biuro konstrukcyjne, też dla przemysłu węglowego – urządzenia różne, konstrukcje i tak dalej. Tutaj było. I drugie do Torunia. Tam jest jeszcze nadal taka fabryka aparatury i urządzeń elektrycznych. Ale mi się tam do Torunia nie bardzo chciało. Mówię: będę się tam sam tułał. A tu w Wałbrzychu mam samych znajomych wszędzie. I w tym biurze konstrukcyjnym kupę znajomych było, bo kończyli tutaj te – razem ze mną tą szkołę, a później kończyli Politechnikę Wrocławską i tutaj pracowali. A niektórzy tylko po technikum, po gimnazjum. Ale tutaj pracowali. Tak że, tak że tutaj dużo znajomych było. Ale później ja poszedłem do biura konstrukcyjnego i oni mówią: »No! To dobrze. Ale niech pan przyjdzie za tydzień to zobaczymy co panu tutaj proponujemy«. To ja poszedłem do fabryki, która tutaj była obok. I tam też kupa była znajomych. I zostałem już w tej fabryce. I 41 lat w niej przepracowałem. [...] Wszystko to jest związane z tym, że człowiek był młody i dobrze to wspomina! [śmiech – A.K.].

[Maria Ząbek] – „A myśmy się poznali przez koleżankę moją z pracy. A ona była sąsiadką ich. Urządzili nam zabawę. I na zabawie, jakśmy się zobaczyli, to mąż mi się w ogóle nie spodobał. Koleżanka się pyta: »No i jak on ci się podoba?«. E! Ale, jak przyszła taka dziewczyna go poderwać – od razu mi się spodobał! Dawniej to były takie białe tanga. Jakies białe tango, ja tam zagadana, w ogóle nie słyszałam, że coś takiego ogłaszali, zresztą...

tam specjalnie jakoś nie byłam zakochana od razu... a tu patrzę, ta kurczę przyszła! No i później już go nie puściłam! Tak się złożyło, że ja pracowałam z sąsiadką, z ich sąsiadką – domy tak naprzeciwko siebie. To się dobrze znali.

Tam wszystko na tym osiedlu, na Podgórzu, tak się nazywa ta dzielnica: Podgórze, to sami Francuzi. Teściowa to co poniedziałek, taki klub kawiar-niany był i one się spotykały, te kobiety z Francji i sobie tam przy ciastkach, przy kawie. Co poniedziałek. Mnie się podobało, jak tam te babcie się na tą kawę zbierały, po francusku rozmawiały. [Wtedy – A.K.] po sklepach nic nie było, ja kupiłam takie jakieś pierze na becik. I one się zebrały i to pierze rwały. I potem po francusku rozmawiały, śpiewały po francusku. I to miały zajęcie – nie tylko ten klub kawowy, ale jeszcze to pierze darły”.

[Władysław Ząbek] To mieszkanie był, to nie był jakiś klub. To było w mieszkaniu. Tak się utarło, że już wiedziały, że co poniedziałek tam się trzeba spotkać. No bo to same, przeważnie to wdowy były. Ci mężowie gór-nicy poumierali. No a one same były. I po francusku rozmawiały.

Tutaj na przykład u nas, jest taka dzielnica Biały Kamień. To między sobą nigdy nie mówili „Biały Kamień” tylko *Blanc Caillou!* Młodzi w apaszkach chodzili. Tak! To był taki rozpoznawczy znak. A czy różnili się ubiorem? No może tak, troszeczkę byli lepiej ubrani, bo to raz, że tam z zachodu przyjechali, a tutaj z kolei bardzo dużo było osób ze wschodu. To jednak tą różnicę się tam widziało. Ale ja wiem? Ja tak bardzo na to nie zwracałem uwagę! Ja zwróciłem uwagę – i zresztą to wszyscy na to zawsze mieli jakiś taki punkt, że te apaszki, nie? To na pewno musiał być w Francji! Bo miał taki tu zawinięte. Nawet latem. Taką jakąś – no właśnie – leciutką apaszkę. A na najbardziej to się rzucali w oczy, że po francusku zawsze mówili. Tutaj tramwaje jeździły. To to po tych tramwajach to to ta komunikacja między tymi osiedlami, to była dosyć sprawna. No – na tyle sprawna, tam się czekało i tak dalej, no ale były te tramwaje jeździły. No to było słyhać ten język francuski. Niektórzy specjalnie po francusku rozmawiali, żeby się pokazać!

Ja do tej pory mówię po francusku ale... lepiej rozumiem. Rozumiem wszystko.

W 1955 r. w Polsce był tzw. światowy dzień młodzieży, festiwal światowy, dzień młodzieży w Warszawie. A, zapomniałem o tym powiedzieć, bo to było za czasów studiów. I ja na ten festiwal się załapałem. Nie jako delegat, ale jako tłumacz. I to tak fantastycznie się złożyło, że to tak do Polski jako pomoc w organizacji przyjechało gdzieś 200 autobusów ze Związku Radzieckiego. Bo to był 1955 rok! Polska wtedy była bardzo... nie do porówna-

nia z tym co teraz jest, nie? A kierowcy wszyscy Rosjanie byli. I ja właściwie to miałem być tłumaczem przy tym całym transporcie. A oni, akurat tam, gdzie mnie tam dali, gdzie mnie przeznaczili, to przyjechała cała francuska delegacja – 200 osób. I oni wozili tą delegację francuską po tych różnych... bo to przecież trwało, ja wiem? Tydzień – dwa tygodnie? Już teraz nie powiem, to tak dawno było. Takie spotkania różne były. Oczywiście – występ, bo tych delegatów, tych – powiedzmy – działaczy, to było mało, a najczęściej to było takich różnych młodzieżowych grup: tanecznych, chórów. O, na przykład z Gruzji był fantastyczny zespół taneczny – balet gruziński. No i niesamowity, to ci byli – młodzież była, ale z tego oficjalnego zespołu gruzińskiego – baletu. Tańca i baletu gruzińskiego. No i tak dużo było – tam masa była takich różnych zespołów. No to ja właściwie byłem wśród tej francuskiej delegacji, no i z tymi kierowcami rosyjskimi. A właściwie to tam tych kierowców to z nimi prawie wcale nie byłem, ja przez cały czas się opiekowałem grupami francuskimi. Zresztą oni dwa tygodnie przed tym festiwalem, zebrali nas tych tłumaczy. I ponieważ była grupa francuskich tłumaczy, to ja do nich przystąpiłem – mówię: »przecież ja nie muszę się uczyć rosyjskiego, czy tam sobie poprawiać ten rosyjski« – bo po dwóch latach to ja już po rosyjsku mówiłem normalnie – bo musiałem. O tam nie było mowy o tym – człowiek musiał.

I ja po tych dwóch tygodniach, to ja po francusku mówiłem tak, jak Francuz. Bo tam z nimi, jak rozmawiałem, to oni nie poznawali, oni się często pytali: »A skąd ty jesteś?«. Nawet, a ja im jeszcze powiedziałem, że tam ze Związku Radzieckiego – to już w ogóle było! Tak że faktycznie.

A miałem taki wypadek, tam, zanim jeszcze byłem na tym festiwalu, przyjechała akurat taka grupa Francuzów tam do Doniecka. Tak jakoś to nie było o tym mowy, czy ja nic nie słyszałem? Ale spotkałem ich tak w mieście – tam spacerowaliśmy i słyszałem, jak oni rozmawiają. I podszedłem do nich i zacząłem z nimi trochę rozmawiać. Tak mnie zatkało, że czasem to ja nie wiedziałem: jak? Co? Dosłownie nie umiałem się wypowiedzieć! Bo to było w trakcie uczenia się tego rosyjskiego, nie? O francuskim języku to w ogóle nie było mowy. Tak że to jakoś tak – odeszło ode mnie całkiem.

A później drugi raz byłem, miałem jeszcze znowu taki właśnie przypadek, że zauważyłem, jak się jest w takim anturażu, można szybko z powrotem zdobyć te wszystkie językowe rzeczy. Bo byłem na winobranii. I to trwało gdzieś jakieś dwa tygodnie. Właściwie to nawet, na same winobranie to byliśmy tydzień, ale później czekaliśmy, bo skończyło się winobranie, oni później mówili: »no może jeszcze was zatrudnimy. Poczekajcie, jeżeli macie

Zdjęcie klasowe,
szkoła dla
chłopców
w Méricourt
(Pas-de-Calais,
Północna
Francja). Początek
lat 40. XX w.



taką możliwość«. No to ja pojechałem tam do swojej rodziny. I tam u nich przesiedziałem prawie tydzień. Ale nie przyjęli nas, bo powiedzieli, że »a, już nie mamy takiej potrzeby«. Ale przez ten tydzień czasu to tam z Francuzami miałem bardzo często do czynienia. Trzeba było rozmawiać, trzeba było kolegom tłumaczyć, bo akurat tylko ja jeden byłem wśród tych. Myśmy pojechali w czwórkę samochodem. I to oni nie znali języka francuskiego. To szybko jakoś mi to wróciło z powrotem, mogłem dosyć swobodnie mówić. A teraz też czuję, że jak czasem chcę coś powiedzieć, to oj! Muszę szukać pół godziny. Jakieś słowo mi ucieknie i koniec! Się zatkam.

Ale na winobranii byłem w 1981 r., a w 1969 to nas zaprosiła rodzinka. Wypisali nam takie zaproszenie, przysłali nam tutaj ten bilet i tak dalej – no bo to inaczej nie można było. Tak że tam pojechaliśmy wtedy. Oni do nas – w 1968 oni u nas byli. Jakiś tydzień czasu. To tam – u mamy, tutaj to zaglądali. Ale tam mieszkali u mamy. No jeszcze przedtem byli też kilka razy. Oni tak przyjeżdżali tutaj od czasu do czasu. Chyba ze trzy, cztery razy byli w Polsce. Tu dziadek nawet był – ojciec mojej mamy. On miał w Bochni gdzieś – w pobliżu jakiejś wiochy – miał tam jakiś kawałeczek pola i stodoła jakaś była. I koniecznie chciał, żebym ja to przyjął. Ja mó-

wię: »Dziadku! Po co mnie to potrzebne! Ja nie chcę!«. No i oczywiście on tam później mówi: »A to dobra, to zostawię to tym, którzy używają, mówi, i niech oni to mają«.

A we Francji została siostra mojej mamy i siostra mojego taty. I brat mamy. Bratu mamy się najlepiej powodziło, bo on z początku pracował i jako taki pracownik zdawał różne kursy i tak dalej, i zrobił inżyniera w końcu. No. Pracował w dużej fabryce budowlanej, która budowała domy. Mieli piękną willę. Ja u nich byłem, jak on z pierwszą żoną brał ślub. To tak miałem wtedy 5–6 lat. Gdzieś takie zdjęcie stare było, gdzie tam jestem taki maluch. I z tego wesela to pamiętam, że taki rozgardiasz był, ale nic tam konkretnego z tego nie wiem. Polkę miał, żonę, pierwszą żonę – to było przed wojną, gdzieś tam się spotkali. Ale później po wojnie, już nie pamiętam, w którym roku, gdzieś w latach chyba 70., zmarła ta żona. I on ożenił się z Francuską.

No ta siostra mamy zmarła. Jej córka, z którą ja bardzo tak się przyjaźniłem, kuzynka moja, też dość szybko zmarła i brat jej też – dosyć długo jeszcze prowadziliśmy korespondencję i coś przestał. Bo on też już nie żyje. Mąż tej mojej kuzynki też zmarł. A wtedy, jak byłem u nich, to pierwszy raz jadłem te – ślimaki. Bo ona tam przyrzędziła tak, mówi: »zrobię ci coś francuskiego«. Bo to była najmłodsza córka tej mojej ciotki. Ona jeszcze niezłe mówiła po polsku, a miała męża Włocha. Ale ciotka to po francusku w ogóle nie mówiła!

Ciotka, jak ja byłem u niej, co czekałem, czy ewentualnie tam nas zatrudnią jeszcze, to tam jeszcze istniało takie domowe dostarczenie różnej żywności – i jeżdżą tam na takich rowerkach, czy na takich malutkich samochodzikach, ona sobie zamawiała zawsze tam coś. To nie jest dużo drożej niż, powiedzmy, w sklepach. Po tych osiedlach tak tam tak jeżdżą tak. To jakoś się już kiedyś, dawno – zaraz po wojnie to tak jakoś rozkwitło i dalej się utrzymuje. I tam dość z tego korzystają. Zresztą to przed wojną nawet kiedyś, ja pamiętam, przed wojną jeszcze byłem małym chłopcem. Byłem u dziadków. Oni jeszcze w Lille, w samym Lille nie mieszkali, tylko na wiosce pracowali, na takiej dużej fermie. Mieli taki ładny, mały domeczek i tam ja na wakacje pojechałem. To było jeszcze przed wojną – to był gdzieś 1939 czy 1938 rok... To tam właśnie do nich zawsze dojeżdżał z chlebem, z bułkami świeżymi, raniutko. No to był jeszcze przed wojną było. Mleko też. Mleko i chleb, i bułki. No ja zawsze za tymi bułkami tam polowałem. I jak dziadek zwoził słomę, czy tam siano, to ja zawsze z nimi poszedłem i później na ten wóz na górę wchodziłem. Babcia zawsze: »Gdzie ty tam! Spadniesz stamtąd!«. Dziadek mówi: »Dobra, dobra, nic mu się nie stanie«.

A dziadek mnie kiedyś przerobił. Ale we Francji jeszcze też. Dziadek w czasie okupacji – no – pracy też już nie miał, to handlował. Tu gdzieś coś z tego, tam gdzieś coś handlował, z Niemcami handlował. I jak Amerykanie wkroczyli, to się bał, żeby go nie zatrzymali – Francuzi – bo tam Amerykanie to na to nie zwracali uwagi, ale Francuzi byli na początku tacy – przecież tego – Maurice’a Chevalier zamknęli, bo z Niemcami śpiewał w knajpach²¹. Potem wypuścili go zaraz. To słynny francuski śpiewak, przecież on był taki popularny i we Francji, i do Stanów Zjednoczonych nawet wyjeżdżał. I dziadek przyjechał do nas. I mieszkał u nas z pół roku. Mówi: »Zanim się tam – mówi – uspokoi – mówi – to ja u was pomieszkam«. No ale nie chciał tak siedzieć beczynnie i zatrudnił się u takiego przedsiębiorcy, który rozwodził węgiel. Rozwoził węgiel w takich wozach – końmi. I to było w 1944, bo Amerykanie wylądowali w 1944 r., w maju²². To był 1944 rok. To jeszcze rozwodzili węgiel takimi platformami – konie ciągnęły te platformy. I kiedyś on tą platformę gdzieś tam zostawił i z tymi końmi wracał. I gdzieś mnie spotkał. I mówi: »Co? – mówi – może byś się chciał przejechać na koniu?«. Ja mówię: »Chętnie!«. Ja na to, jak na lato! Bach na tego konia, jakoś tam się wdrapałem. A on – nie wiem? – mechanicznie chyba – bach! – tego konika uderzył. A ten konik poleciał! Dawaj! I główną ulicą w tym miasteczku. Tam wybrukowana ta droga. Nawet nie asfalt, tylko że dosyć równa [nawierzchnia – A.K.]. A on podkuty przecież. Hlow, hlow, ja żem ledwo się go tam trzymał! Ale dobrze, że on tam tą ulicą, jakoś tak cwałował, biegał tak lekko sobie, przy samym krawężniku tak galopował. I naraz chce skręcać, a ja go ciągnę, żeby on nie skręcił, a on nie – twardo. A on akurat doleciał do tej swojej stajni. Do stajni doleciał! I do stajni ciągnął! I do stajni ciach – tam się zatrzymał! W strachu byłem niesamowitym, że on mnie zrzuci, albo gdzieś tam wpadnie na coś... Ja mówię: »No, dziadek!«, a on mówi: »ale co się stało?«.

No. Dziadek to był! Ale o mało bym się przez dziadka nauczył palić papierosy. No bo dziadek tak wszystko – różnymi rzeczami się zajmował i od Amerykanów papierosy skupował. Później sprzedawał. Oczywiście na tym zarabiał – bo jak pojedynczo sprzedawał, czy po kilka, to zawsze więcej

²¹ Maurice Chevalier (1888–1972) – piosenkarz i aktor, został oskarżony o kolaborację z nazistami, przede wszystkim z powodu jego wyjazdu do Niemiec, gdzie występował w obozach jenieckich (por. http://metromsn.gazeta.pl/Gwiazdy/1,135233,12956671,Kulturalna_kolaboracja_z_hitlerowcami__Jak_francuscy.html) [23.05.2014].

²² Alianci wylądowali we Francji 6 VI 1944 r.

wychodziło. Amerykany to tak z początku handlowali wszystkim, co tylko mogli. Oni tam mieli przecież zaopatrzenie takie. To ten czarny handel to tam kwitł! I ja mówię, że »ty jak tak sprzedajesz, to daj mnie – ja będę sprzedawał. Jakoś zarobię sobie!« I jak miałem papierosy, to zacząłem palić. Miałem wtedy 12 lat. Jak mnie ojciec złapał przy tym. I włął mi. To przestałem. Ale dobrze, bo przestałem palić i nie palę i nigdy nie paliłem. A tam to już tak: »Amerykany«! Co to było!

Moi rodzice cały czas myśleli o powrocie do Polski. Szczególnie ojciec. Prawie, prawie cała rodzina została tam we Francji. A ojciec twardo – on w 1946 r. już byśmy przyjechali, ale mówiłem – trochę go wstrzymali, żeby pracował społecznie.

A ja? Ja byłem nastawiony dobrze, jakoś nie miałem nic przeciwko. Dopiero, jak tutaj przyjechałem, to troszeczkę żałowałem. Ale stamtąd jak wyjeżdżaliśmy, to nie – nie miałem nic przeciwko. Jeszcze zobaczyłem – tam wychodziła gazeta polska. I było takie zdjęcie z Wałbrzycha, takie – tam nawet widocznie stamtąd musiało być robione, gdzie mieszkamy tam – bo to jest na takiej górcie – widać całą panoramę Wałbrzycha. Tego – tutaj nie, tylko to centrum – stary Wałbrzych. I tam kościoły. No a za panoramą Wałbrzycha widać góry. Lasy, góry. Mnie to zmotywowało. Tam myśmy mieszkali przecież w takiej... do lasów daleko. Tam był tylko taki laszek mały, a reszta to kopalnie, zabudowania, przemysł. Nic takiego ciekawego nie było.

Mnie się tylko podobało to, że tu ładnie jest – no – pejzaże piękne, góry, lasy. To byłem bardzo z tego zadowolony. I chodziłem po lasach ciągle. Ale raził mnie trochę ten brak takiej... niski poziom cywilizacji. W porównaniu z Francją. Chociaż to troszeczkę tak za bardzo zaakcentowane, bo tam, gdzie myśmy mieszkali to znowu też nie były wielkie cymesy. Ale tam jednak był porządek. A jak myśmy przyjechali to tu, ten nieporządek był powszechny. No wszędzie – wtedy, bo powiedzmy później się troszeczkę to poprawiło, ale z początku to tych śmieci, tego wszystkiego! Bałagan był niesamowity! I to to raziło. Bo tam – chociaż to były samedzielnice robotnicze, ta czystość było, bardzo fajnie i porządeczek był. Tam – to się tak utarło, jeszcze sprzed wojny. Bo to były osiedla górnicze, nad którymi właściwie opiekę miała kopalnia – chociaż ona była prywatna. I tam była taka jakby miejska straż. Na rowerze [strażnik – A.K.] jeździł i pilnował. Czy jest czysto, czy dzieciaki nie rozrabiają. Jak tam przecież – do szkoły wszyscy musieli chodzić, nie? Nie było tak, żeby ktoś nie chodził do szkoły. I jak widział, że w czasie szkolnym jakiś dzieciak się gdzieś tam kręci – to

on to zaraz robił z tego – no małą aferę po prostu. Szukał rodziców i pytał się dlaczego, jak tego. I to nie popuścił!

Na wagary się chodziło, gdzie ten strażak nie łąził nigdy. Później oczywiście, jak już tak miałem 12–13 lat, w tym okresie. Poza naszym miasteczkiem była taka rzeczka – kanał właściwie. Bo we Francji dużo w ogóle kanałów takich, gdzie barki pływały. Tam bardzo dużo tych barek było. I tam taki lasek mały był, jakiś staw – to myśmy tam często chodzili. A to od szkoły i od tego miejsca, gdzie mieszkaliśmy, to było dobre 3–4 kilometry. Trzeba było iść daleko. Bo akurat dookoła tego miejsca, gdzie myśmy byli, to nic takiego nie było. No – osiedla duże były, bardzo rozległe. Z jednej strony jedna kopalnia, z drugiej strony druga. Troszeczkę dalej trzecia kopalnia...

Z początku żałowałem troszeczkę [wyjazdu z Francji – A.K.]. Jak ze szkoły wracałem do domu to często brałem kozy, mieliśmy kozy w domu i tam tak zaraz takie łąki są, las. I z tymi kozami szedłem tam. No i tam jak siedziałem z tymi kozami, to często albo miałem jakąś książkę, czytałem, albo myślałem jak to we Francji pięknie było. Ale teraz już nie tęsknię za Francją. Nieszczególnie. Ja bym tam czasem może pojechał tak pozwiedzać. Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że będąc tyle lat we Francji to człowiek – tam właściwie prawie wszyscy, bo to nie tylko ja – ale właściwie nie znamy tej Francji. Myśmy tylko siedzieli w tym Pas-de-Calais... A Francja jest taka piękna! I nie mieliśmy o tym pojęcia...

Władysław Ząbek was born and raised in France, in Pas-de-Calais department, as a child of Polish emigrants who had come to France looking for work. After the Second World War he returned to Wałbrzych in Poland together with his parents, where he still lives.

Władysław Ząbek describes mostly his daily life in a mining town in the north of France, dominated by Polish immigrants, he speaks about a Polish school, friendly relationships and the lifestyle of Poles in France. A significant part of the account is dedicated to the years of war and Nazi occupation of France.

The next stage of Władysław Ząbek's life was his return to Poland, to post-war Lower Silesia, which at that time was a national and religious melting-pot. The account shows the difficult beginnings of life in the unknown homeland, issues of Wałbrzych's reconstruction after the war, the housing situation but also about the habits of re-emigrants from France, who constituted a distinct group in the post-war Wałbrzych and the region.

Another important fact in Ząbek's account is the time of studies in Donieck in the Ukrainian Soviet Socialist Republic which he started following the advice of the headmaster of his secondary school. During his studies, Władysław participated in the Fifth World Festival of Youth and Students in Warsaw (1955) as a French interpreter. It was one of many significant events connected with his contact with France and the French language after his return to Poland proving that the childhood and teenage years spent in France had an impact on his life.

*(Un)usual biography
of a re-emigrant from
France*

Edited by
Anna Kurpiel